



**BÁRBARA  
MUJICA**

# **FRIDA**



## Frida! Frida!

Wiem, co pan chce usłyszeć, doktorze, ale przepraszam, nie wyciągnę pan ode mnie żadnych plugawych zwierzeń. Wy, psychiatrzy, wszyscy jesteście tacy sami. Chcecie, bym przyznała, że jej nienawidziłam, że miałam jej za złe to, iż zawsze znajdowała się w centrum uwagi, ale mylicie się. W rzeczywistości nie znosiłam, kiedy ludzie na mnie patrzyli, a czynili to często, gdyż, prawdę mówiąc, z nas dwóch ja byłam ładniejsza. O n tak powiedział.

Nie, to nie fair. Proszę mi wierzyć, kochałam ją, mimo wszystko.

Niech pan słucha, odkąd pamiętam, była dla mnie dobra. Chroniła mnie. Wzorowałam się na niej jako na zdolniejszej, bardziej utalentowanej. Ja byłam cicha, ona – dynamiczna. Za to mnie uważano za ładniejszą. Może z początku ona tak nie myślała, ale... cóż, w końcu chyba uświadomiła sobie, że wszyscy podziwiająją moją urodę, nawet jeśli ona jej nie dostrzega. Miała przecież swój rozum. On zawsze mówił, że jestem olśniewająca. Oczywiście, straszny był z niego czaruś i kłamca. Ale i tak najbardziej lubił malować mnie, byłam jego ulubioną modelką. Nie podobało jej się, kiedy mu pozowałam, lecz i tak do niego chodziłam. Malował mnie bez przerwy, nago.

I wcale nie chodzi o to, że chciałam się na niej odegrać, nie dlatego to robiłam. Miała swoje mocne strony, a ja miałam swoje. Była mądra, a ja piękna. Ona? Jakże mogła być piękna? Kaleka

z wężami i jedną nogą krótszą? Czasem mi dokuczała, ale to nic dziwnego – z jej rozumem! Przecież uchodziłam za tępą. A poza tym dokuczała wszystkim, nie wyróżniała mnie pod tym względem. Powiedzmy, że nie byłam wyjątkiem. Nie byłam wyjątkiem nigdy i w niczym.

Nie chodzi też o to, że nie wiedziałam, co robię. Owszem, wiedziałam, ale sądziłam, że jest jej wszystko jedno. Była taka dziwna i ekscentryczna. Nigdy nie przywiązywała wagi do reguł. Nie przejmowała się cudzymi uczuciami. Pomyślałam sobie, dobra, skoro ma wszystkich w nosie, skoro sądzi, że każdy powinien robić, co zechce, i do diabła z tym, co ludzie powiedzą, to po prostu pójdę za jej radą.

Widzi pan, ona przewodziła, a ja szłam za nią. Zawsze szłam za nią.

Podam panu przykład. Pytał pan o nasze dzieciństwo, więc panu opowiem.

Zdarzyło się to dawno, dawno temu, kiedy byliśmy jeszcze małe. Minęło tyle czasu, a ja wciąż widzę to zdarzenie bardzo wyraźnie, jakby zostało wyryte w moim umyśle. Bo wie pan, ja też jestem artystką. Nie, nie taką jak ona, nie umiem malować obrazów na płótnie. Ale umiem przechowywać wizerunki w mózgu. Cóż, chyba to niezbyt cenna umiejętność, prawda?

Oto co widzę. Frida, przykucnięta za filarem, obserwuje nieprzyjaciółki. Estela, przywódczyni, szepcze do Maríi del Carmen, głównego stratega, po czym daje sygnał pozostałym. Formują się linie frontu. Na dziedzińcu przebywa około czterdziestu dziewcząt, z których piętnaście szykuje się do ataku. Inne skaczą przez skakankę lub grają w klasy. Są pochłonięte zabawą. Frida zerka z ukrycia i zagryzając usta, ocenia siły wroga.

Uchodziła za rozkoszne dziecko. Nie tak jak ja. Trzeba przyznać, że byłam tłusta i trochę ociężała. W owych czasach uważano ją za ładniejszą – choć trwało to niezbyt długo. Miała prześliczną cerę barwy herbaty z mlekiem, różane policzki i pulchne rączki.

W wieku sześciu lat nosiła puszyste, ciemne półdługie loki, okalające twarzyczkę delikatną jak u niemowlęcia. Wyprawiając ją do szkoły, Mami zawsze wpinała jej we włosy białą kokardę. Ubrana w perkalowy fartuszek Frida wyglądała jak aniołek.

Budynek szkolny, zbudowany w hiszpańskim stylu kolonialnym, miał wewnętrzne patio, otoczone kolumnadą. Niedawno spadł deszcz – jedna z owych nagłych ulew, które w kwietniu zdarzają się na Wyżynie Meksykańskiej – ale znów wyszło słońce i jego światło odbijało się jaskrawo od kałuż na płytach dziedzińca. Dziewczęta na środku patio ze śmiechem skakały po wodzie, prześcigając się, która bardziej chlapnie. Frida nie zwracała na nie uwagi. Wzrok jej przykuwały Estela i María del Carmen, które wzięwszy się pod ręce, zajęły pozycje na czele swego oddziału. Zamierzały prowokować moją siostrę dotąd, aż wyjdzie zza kolumny. Lecz Frida nie chciała biernie czekać na szyderstwa. Wsunęła wojowniczo szczękę, o tak, i wyszła na otwartą przestrzeń.

– Frida! – szepnęłam, kryjąc się w półmroku arkady. – Frida, nie idź!

– Cicho bądź! – skarciła mnie. – Przestań się mazać! – Zawsze wyzywała mnie od mazgajów.

Skulona za kolumną patrzyłam, jak zmierza w stronę atakujących dziewcząt. Wtem poczułam wilgoć i pieczenie skóry między nogami. Poruszyłam się i mocz spłynął na moje nowe, wykończone koronką skarpetki. Wiedziałam, że Mami się wścieknie.

Frida zatrzymała się przed Estelą, mrużąc oczy zapewne od słońca. Usta jej drżały, lecz poza tym ani drgnęła. Patrzyła prosto w twarz nieprzyjaciółki.

Estela wyszczerzyła zęby w uśmiechu i jakby na rozkaz dziewczęta we wrogiej grupie zaczęły skandować:

*¡Frida, Frida  
Fue servida*

*Al Diablo  
Por Comida!*

*¡Frida, Frida  
Escupida  
De su bosca  
Por judia!*

Frida, Frida,  
Została podana  
Diabłu  
Na obiad!

Lecz nawet on jej nie chciał,  
Fridy, Fridy,  
I ją wypluł,  
Bo jest Żydówką!

To było okropne! Okropne! Byłyśmy katoliczkami! Obie przystąpiłyśmy do pierwszej komunii, ale w tej wstrętnej szkole dziewczynki bez przerwy wyzywały nas od Żydówek, a wszystko z powodu Papy.

Chciałam, żeby Frida odwróciła się i odeszła, lecz ona tylko zacisnęła mocniej szczęki, hamując drżenie podbródka. Dzieci oderwały się od zabawy i zgromadziły się wokół niej, tworząc duży, nierówny półokrąg. Frida wyprostowała się i skrzyżowała ręce. Czułam coraz większy ucisk w żołądku. Zaczęłam łkać.

Podbródek Fridy zadrżał, lecz zamrugła kilka razy i powstrzymała łzy. Niektóre dzieci, drwiąco uśmiechnięte, pokazywały ją palcami. Nad dziedzińcem zawisła dziwna poświata. Frida przełknęła ślinę i odetchnęła głęboko.

– Zamknij się! – niemal plunęła w stronę Esteli.  
Dziewczynki zaczęły śpiewać jeszcze głośniej.

– Milczeć! – wrzasnęła Frida ponownie, lecz tym razem śpiew zagłuszył jej słowa.

*Frida, Frida!*

– Zamknijcie się! Zamknijcie!

Skandowanie ucichło.

– Co za głupia piosenka! – krzyczała Frida. – Chyba jakaś idiotka ją wymyśliła!

Kilka dziewczynek zachichotało, inne podjęły śpiew, ale już nieco ciszej.

Wyjrzałam zza kolumny i stanęłam na palcach, ale byłam niższa od dzieci, które kordonem otaczały Fridę. Ponad ich głowami niewiele mogłam dostrzec. Chciałam przepchnąć się na lepsze miejsce, lecz wiedziałam, że koleżanki będą się śmiały z moich mokrych majtek i skarpetek; poza tym mogły zaatakować także i mnie tylko dlatego, że byłam siostrą Fridy. Cofnęłam się więc do kryjówki.

Estela i Frida wpatrywały się w siebie, oddalone co najwyżej o pół metra. Nikt się nie poruszył. Napięcie między nimi narastało od dawna – od wielu tygodni, a może nawet od miesięcy, aż wreszcie doszło do konfrontacji, do ostatecznej rozgrywki. Inne dzieci patrzyły i czekały, przestraszone, lecz jednocześnie podniecone nadzieją, że stanie się coś okropnego.

– Nie jesteś stąd! Nie należysz do nas! – syknęła Estela. – Cudzoziemka!

Dziewczynki wzдрыgnęły się, jakby na środek dziedzińca zeskoczył z dachu upiór. Wszystkie oczy skierowały się ku Fridzie. Miałam ochotę zabić Estelę, ale cóż mogłam zdziałać? Zostałam za filarem.

– Wcale nie! – odparowała Frida.

– Wcale tak, FREY-DA! – Estela z niemiecka, gardłowo wymówiła głoskę „r”. – Nawet imię masz obce!

Frida zawahała się przez chwilę. Rzeczywiście, pisała swoje imię z niemiecka, F-R-I-E-D-A. I nasz ojciec naprawdę był niemieckim Żydem węgierskiego pochodzenia.

Spojrzała Esteli w oczy.

– Nazywam się Magdalena Carmen Frieda Kahlo y Calderón. Ochrzczono mnie w kościele.

– Jesteś obca! Twój ojciec mówi po hiszpańsku z akcentem. Kiedy wymawia słowa *república* albo *revolución*, to jakby chrząkała świnia!

– Nie jestem cudzoziemką, tylko Meksykanką!

– Meksykanie to katolicy!

– Jestem taką samą Meksykanką i katoliczką jak i ty! Co niedziela chodzę do kościoła! Do Świętego Jana! Powinnaś o tym wiedzieć, bo też tam chodzisz!

Doktorze, w żydostwie nie ma nic złego. Po latach Frida chciała się swoim żydowskim pochodzeniem. Ale wówczas, w rewolucyjnym Meksyku, uważano za złe wszystko, co obce. A pan? Czy pan jest Żydem, doktorze?

– Twój ojciec ma na imię Wilhelm!

– Mój ojciec ma na imię Guillermo!

– To nie jest jego prawdziwe imię, FREY-DA! Naprawdę nazywa się Wilhelm!

– Wilhelm, Wilhelm! – zaczęły skandować dziewczynki. – Jej ojciec nazywa się Wilhelm!

Na włosy Fridy padł promień światła i czubek jej głowy rozjaśnił się niczym aureola. W blasku słońca przypominała serafina, utkanego z iskier i pajęczyny. Podniosła do ust delikatne, dziecięce paluszki i wlepiała wzrok w Estelę.

– Matka mówi, że twój ojciec to jeden z tych cudzoziemców, których sprowadził tu Porfirio Díaz – ciągnęła Estela. – Mówi, że obcy zniszczyli kraj, ale że teraz, dzięki rewolucji, wszystkich was powieszają!

– Twoja matka to głupia kurwa!

To był nieoczekiwany cios. Rodzice Esteli popierali rewolucję i reformę rolną Emiliana Zapaty, lecz byli to ludzie przyzwyczajeni, nie żadna hołota. W ich kulturalnym, drobnomieszczańskim

środowisku nie używano takiego języka. A już na pewno nie używały go młode damy, zwłaszcza sześćcioletnie. Esteli zaparło dech w piersiach. Muszę się roześmiać! Jaką zrobiła minę, gdy usłyszała słowa Fridy!

Po dziedzińcu przebiegł szmer niedowierzania. Dziewczynki zachichotały niepewnie. „Słyszałyście, co Frida powiedziała? – szeptały. – Powiedziała: k...!” – Nawet chłopcy tak się nie wyrażali, wręcz przeciwnie, zachowywali się powściągliwie i z godnością. Tylko męty mówiły w ten sposób. Frida pogwałciła wszystkie reguły, a to wymagało odwagi! Byłam z niej dumna.

Dzieci spoglądały to na Fridę, to na Estelę, niepewne, pełne oczekiwania. Niektóre kiwały głowami i uśmiechały się do mojej siostry, niemal gotowe stanąć po jej stronie. Estela musiała odzyskać przewagę, którą odebrał jej ten bachor z niewyparzoną językiem.

– Twój ojciec pracował dla rządu Díaza. Mama mówi...

– Twoja matka to kupa gówna! Jest taka wredna, że z jej cipy wychodzą pająki!

– FRIDA KAHLO!

Krzyk nauczycielki przeciął powietrze niczym trzask pioruna. Dzieci rozbiegły się jakby rozproszone potężną magnetyczną siłą. Panna Caballero w jednej chwili dopadła uroczej winowajczyni, chwyciła ją za ucho i wyprowadziła z patio.

– Jak ty się wyrażasz? Kto to słyszał, żeby porządna dziewczynka używała takiego języka? Ohyda!

Frida wyrwała się, lecz nauczycielka chwyciła ją za falbankę fartuszek i szarpnęła ku sobie.

– Ty! – krzyknęła z obrzydzeniem. – Wyglądasz jak aniołek Pana Boga, a jęzor masz niczym zamiatacz ulic! Mówisz, jakbyś chowała się w rynsztoku, a nie w przyzwoitym domu. Twoja matka to porządna, pobożna chrześcijanka! Wstydzilibyś się!

Pociągnęła Fridę pod arkadami w stronę drzwi prowadzących do naszej klasy. Ja dreptałam z tyłu.

Nagle panna Caballero odwróciła się.

– A ty co? – zawołała, celując we mnie palcem tłustym jak kielbaska. – Też tu jesteś? Oczywiście, gdzie Frida, tam i ty! Łazisz za nią jak cień. Ale lepiej uważaj, Cristinita. To rozrabiaczka i tobie też narobi kłopotu.

Zatrzymałam się i spojrzałam na nauczycielkę. Nogi mi się lepiły, a od mokrych majtek swędziała skóra. Poruszyłam się niespokojnie. Panna Caballero wzięła mnie za rękę, a następnie pociągnęła nosem. Mocz zaczynał cuchnąć.

– Och, nie! Znowu? – jęknęła. – Zrobiłaś w majtki, Cristina? Wy wstrętne smarkule!

Tak nas nazywała – wstrętne smarkule.

Złapała Fridę za ucho, a mnie za ramię, i wciągnęła nas do klasy.

– No – zwróciła się do mnie. – Zdejmuj te mokre majtki i daj mi je. Zawinę je w papier i oddam praczce twojej matki. Chodź tutaj, to cię obmyję.

Ale ja nie zdjęłam majtek, lecz cofnęłam się i skuliłam pod stołem. Panna Caballero rzuciła się za mną, usiłując unieść mi spódnice.

– Sama to zrobię – załkałam.

Nie chciałam, żeby mnie dotykała. Nie chciałam zwłaszcza, żeby mnie myła i dotykała... tam w dole.

– Nie bądź głupia – warknęła.

Ujęła mnie za ramię, usiłując wyciągnąć spod stołu, ale ugryzłam ją w kciuk z całej siły, po czym wcisnęłam się w ką. Krzyknęła krótko i ostro, bardziej ze zdumienia niż z bólu.

Próbowałam wyzwolić się z majtek bez podnoszenia spódnicy, aby panna Caballero nie zobaczyła mojej pupy. Słyszałam różne uwagi na temat nauczycielki, lecz byłam za mała, aby zrozumieć wszystkie aluzje. Jednak po sposobie, w jaki dorośli ściszcali głosy, gdy o niej mówili, poznałam, że musi być jakaś dziwna. Niektóre uwagi miały związek z jej nazwiskiem – *caballero* znaczy

„mężczyzna” albo „pan”. Myślałam, że to dlatego, że miała duże, prawie męskie dłonie.

Nie wiem, co sądziła o niej Frida. Chyba uważała ją za osobę odrażającą i fascynującą zarazem. Lubiła płatać jej figle, wystawiać ją na próbę, jak dzieci często czynią wobec osób mających nad nimi władzę, ale również garnęła się do niej i chętnie się jej przyglądała. Uwielbiała zwracać na siebie uwagę panny Caballero – ale też moja siostra zawsze lubiła być ośrodkiem zainteresowania.

Nauczycielka była Metyską o jasnej skórze, grubych rysach i mocno zarysowanych ustach, które wyrażały zarówno stanowczość, jak i frustrację. Krążyły plotki, że nosi perukę, lecz nie miałyśmy co do tego pewności, albowiem żadna z nas nigdy nie widziała jej bez korony okalających głowę ciemnych warkoczy. Zawsze ubierała się na czarno, a jej stroje przywodziły na myśl przerobione suknie balowe z czasów dawno minionych. Pomimo szorstkiego obejścia miała krągłe, miękkie i zmysłowe ciało, palce zaś podobne do kiści dojrzałych bananów, pękate i czerwone. Odnosiłam wrażenie, że gdyby panna Caballero zechciała, mogłaby być naprawdę miła – ale nie chciała. Nawet jako mała dziewczynka wyczuwałam, że coś powstrzymuje ją przed ukazaniem całej serdeczności, jaką w sobie skrywała.

Wreszcie osaczyła mnie w kącie między stołem a ścianą. Chwyciwszy mnie mocno jedną ręką, drugą nalała wody do miski i mokrą ścierką zaczęła wycierać moje nogi i pośladki.

– No, zadzieraj spódnice – poleciła.

Bałam się okazać nieposłuszeństwo, więc zebrałam fartuszek w garść i uniosłam go do pasa. Pragnęłam umrzeć.

Frida powinna była mi pomóc. Przecież mogła zacząć krzyczeć albo rzucić czymś w pannę Caballero. Być może nie zrobiła tego, gdyż nie przyszłam jej z pomocą, kiedy Estela i inne dziewczynki z niej szydziły. Być może jej milczenie stanowiło coś

w rodzaju zemsty. Tak czy inaczej, po prostu stała i patrzyła, jak ścierka przesuwana się w górę i w dół po moich udach i między nogami, w górę, w dół i pomiędzy, i znów, i znów.

– Szybko – syknęła panna Caballero. – Rozstaw nogi, żebym cię mogła porządnie umyć.

Rozsunęłam szerzej nogi i ugięłam kolana. Panna Caballero znów wzięła się do roboty, a Frida gapiała się na nią. Ten jeden, jedyny raz, kiedy powinna była coś powiedzieć, po prostu stała i się gapiała.

Po wszystkim panna Caballero wypłukała ścierkę i wykręciła ją.

– A teraz – zwróciła się do Fridy – zdejmij majteczki i daj je Cristi.

Frida spojrzała na mnie pogardliwie.

– A to niby dlaczego?

– Bo ci każe.

– To co? Dlaczego mam wracać do domu bez majtek? Przecież to ona się zmoczyła!

– Dlatego, że jesteś starsza – powiedziała ostro panna Caballero.

Frida zastanawiała się przez chwilę, ale nie dostrzegła w tym wyjaśnieniu logiki.

– A co to ma do rzeczy, kto jest starszy? – odparła, wysuwając szczękę.

– Natychmiast! – krzyknęła panna Caballero.

Frida powoli ściągnęła majtki i podała mi je.

– Głupi bachor – syknęła.

– Spokój! – skarciła ją panna Caballero.

Pomogła mi się ubrać i ciągnęła dalej:

– Myślisz, że jesteś taka dorosła, mała Frido? A pamiętasz lekcję przyrody? Kiedy tłumaczyłam, jak działa wszechświat?

Frida wlepiła wzrok w czubki butów.

– Zgasiłyśmy światło – mówiła panna Caballero – ja wzięłam do jednej ręki pomarańczę, a do drugiej zapaloną świeczkę,

i pokazałam wam, w jaki sposób Ziemia krąży dookoła Słońca, a Księżyc wokół Ziemi. Przypominasz sobie?

– Tak – mruknęła Frida. Wiedziała, co będzie dalej. Z zacisniętymi ustami czekała, aż nauczycielka ją upokorzy.

– Bardzo cię to podekscytowało, prawda?

Frida rzuciła jej niechętnie spojrzenie, ale milczała.

– No, przecież pamiętasz, Frido?

– Tak.

– Tak, proszę pani.

– Tak, proszę pani. – Frida wiedziała, że została pokonana. Na jej twarz wystąpił rumieniec, a szczęki zaciskały się coraz mocniej.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Zmoczyłam się.

– Właśnie. Zmoczyłaś się.

Panna Caballero uśmiechnęła się z satysfakcją. Zwyciężyła.

Ale owego dnia, podczas lekcji przyrody, jej zwycięstwo nie było tak oczywiste.

Wytropiwszy kałużę pod krzesłem Fridy, Estela natychmiast zaczęła skandować: „Frida się zsikała! Frida się zsikała!”. I wkrótce już cała klasa wołała: „Frida się zsikała!”.

Przyzwoita nauczycielka wyprowadziłaby Fridę z klasy i po cichu ją umyła. Ale panna Caballero wywlokła ją na środek sali i próbowała zadrzeć jej sukienkę. Jednak moja siostra była dla niej zbyt zwinna i szybka. Kiedy panna Caballero usiłowała przytrzymać ją za pasek, Frida wyrwała się, potrącając przy tym miskę, którą nauczycielka przygotowała do mycia. Chciała ją myć przed całą klasą! Miska spadła na podłogę z łoskotem, jakby zderzyły się dwa samochody. Frida rzuciła się ku drzwiom, rozrzucając po drodze przezrocza i albumy. Ogłuszona hałasem zatoczyła się i uderzyła w półkę z farbami. Słoik czerwonej tempery rozprysnął się o posadzkę, farba bryzgnęła wokół niczym krew. A moja siostra, zamiast uciekać na wolność, zatrzymała się i wpatrzyła jak zaczarowana we wzór plam na podłodze.

Nogi miała pochłapane do kolan, skarpetki przesiąknięte czerwienią.

Nagle pochyliła się i zanurzyła pulchne, sześćcioletnie rączki w kałuży farby.

– Przestań! – wrzasnęła przeraźliwie panna Caballero, ale Frida już mazała dłońmi po sukience, ramionach i twarzy. Nawet jej powieki ociekały lepkiem, ciemnoczerwonym płynem. Po prostu przeszła... jak to się mówi? Meta... metamorfozę, zamieniła się w upiora. W swoim pięcioletnim umyśle ujrzałam, jak z jej ust wycieka strużka krwi, oczy zaś promienieją nadziemskim blaskiem. Rozproszone smugi słonecznego światła, padające z okna, przeobraziły ją w istotę potężną i złowieszczą. – Natychmiast się wytrzyj! – rozkazała panna Caballero.

Frida zachichotała. Uniosła dłonie i poruszyła palcami niczym krab odnóżami. Widok był groteskowy. Przeraziłam się i tak wściekłam, że chciałam się rzucić na Fridę z pięściami.

W końcu panna Caballero zrezygnowała i tego dnia Frida wróciła do domu pokryta czerwienią.

Moja siostra upokorzyła pannę Caballero przed całą klasą, to też nauczycielka skorzystała z byle okazji, aby opowiedzieć, jak Frida podnieciła się na lekcji przyrody do tego stopnia, że aż narobiła w majtki. Chciała po prostu odegrać się na Fridzie, sprawić, żeby dziewczynka poczuła się, jakby wpadła w gówno.

Zaraz, zaraz, o czym to ja mówiłam? Jestem taka stara, że nie potrafię się na niczym skupić. A, tak, opowiadałam panu, że Frida zawsze mnie chroniła. Włożyłam więc suche majtki mojej siostry, ona zaś wzięła mnie za rękę. Wtuliłam głowę w jej ramię.

Pozostałe dzieci już czekały przed wejściem do klasy.

– Zaczekajcie tutaj – poleciła nam panna Caballero, wygładziła spódnice i podeszła do drzwi. Na jej sygnał dziewczynki gęsiego weszły do sali i usiadły na miejscach.

– Chodź, Cristi! – szepnęła Frida. – Wynosimy się stąd!

Szkoła mieściła się w piętrowym budynku w hiszpańskim stylu, zbudowanym w kształcie kanciastej litery U wokół centralnego dziedzińca. Na parterze znajdowały się sale klasowe, składzik, małe biuro i niewielka kaplica, na piętrze zaś mieszkania właścicielki szkoły i panny Caballero. Nie było korytarzy; wszystkie pomieszczenia parterowe wychodziły na patio, a te na pierwszym piętrze – na balkon nad arkadami. Obie klasy miały od strony patio po dwoje drzwi, kiedy więc panna Caballero przez jedno z nich wpuszczała pozostałe uczennice, Frida pędem ruszyła ku drugim, ciągnąc mnie za sobą.

Byłam przerażona.

– Nie możemy uciec! Mami nas zabije!

– Mami się nie dowie!

Panna Caballero zauważyła naszą ucieczkę i ruszyła w pościg, lecz nim zdążyła nas dogonić, wpadłyśmy w otwartą bramę i wybiegłyśmy na ulicę.

Znałyśmy każdy zaułek w Coyoacán. Nie wiem, doktorze, czy pan kiedykolwiek tam był, ale jest to malownicze miasteczko kolonialne, położone godzinę drogi na południe od Mexico City. Są tam barokowe kościoły, place i *tianguis* – miejscowe targi; kiedyś, w czasie wojny z Aztekami, zamieszkiwał tu Hernán Cortés. Obecnie bardzo się rozbudowało, oczywiście dzięki turystom. Turysty odwiedzają nasz dom – to znaczy dom Fridy; przychodzą, gdyż mieszkała tu Frida, nie dlatego, że ja tu mieszkałam. Coyoacán, niegdyś otoczone rozległymi polami i ranczami, stało się obecnie przedmieściem miasta Meksyk, tego niepowstrzymanego, żarłocznego potwora. Choć jednak nasza kipiąca życiem, brudna i szalona stolica przypomina wszystkie wielkie miasta, Coyoacán zachowało pewien staroświecki urok – małomiasteczkową przytulność i ślady minionej historii.

Pobiegłyśmy brukowaną ścieżką, po czym skręciłyśmy w połączoną drogę prowadzącą do Viveros de Coyoacán, dużego, zadrzewionego parku, przez który wiała się leniwie wąska rzeczka. Uliczni



sprzedawcy zachwalali kolorowe zabawki zrobione z drewna, tykw i papier-mâché, poprosiłam więc Fridę, żeby kupiła mi *balero*, grę w piłkę i kubek, którą bawiłyśmy się, gdy byłam dzieckiem.

– Świetnie, nie ma co! – ucięła krótko. – Kiedy wrócimy do domu z *balero*, Mami od razu się domyśli, że włączyłyśmy się po ulicach! Naprawdę, Cristi, aleś ty głupia!

Zawsze tak do mnie mówiła: „Naprawdę, Cristi, aleś ty głupia”.

Plan Fridy był prosty. Pobawimy się w parku, mówiła, aż przyjdzie pora, by nasza niania, Conchita, odebrała nas ze szkoły, po czym zaczaiemy się w sklepiku papierniczym naprzeciwko bramy szkolnej – dostatecznie daleko, by uniknąć sępiego wzroku panny Caballero, lecz dość blisko, by zobaczyć Conchitę nadchodzącą ulicą. Wówczas podbiegniemy do niej i jak zwykle wrócimy z nią do domu. Mami nigdy się nie zorientuje.

Nie byłam przekonana do tego pomysłu, ale potulnie podrepotałam za Fridą. Minęłyśmy pulquerię – bar, w którym podawano *pulque*, biały sfermentowany napój wyrabiany z soku agawy. W owych czasach ściany pulquerii pokrywały barwne obrazki z meksykańskiego folkloru – rozbójnik napadający na wychudłego obszarnika, wulgarna dziwka licząca pieniądze. Chciałam jak najszybciej odejść z tego miejsca, ale Fridę oczarowały barwy owych wizerunków oraz sprośne piosenki, które śpiewali podchmieleni robotnicy budowlani.

Wyjęła monetę z kieszeni fartuszka i u ulicznego sprzedawcy kupiła mi quesadillę – tortillę z serem i sosem chili. Nie znała imienia tego człowieka, ale uważała go za przyjaciela, już wielokrotnie bowiem robiła u niego zakupy.

– Nie poplam fartuszka serem, bo Mami się domyśli, że kupiłam ci na ulicy jedzenie – pouczyła mnie ostro. – Wagarujemy – zwierzyła się sprzedawcy, który uśmiechnął się i wręczył jej drugą quesadillę.

– Mam tylko jednego *centavo* – powiedziała moja siostra.

– Nie szkodzi – odparł. – To podarunek dla ciebie.

Pobiegłyśmy do parku i bawiłyśmy się około pół godziny, Frida przez cały czas zrzędziła, żebym nie poplamiła sukienki, nie zabłociła bucików, nie zabrudziła skarpetek trawą, bo Mami natychmiast odgadnie, gdzieśmy były.

Wreszcie popatrzyła na słońce i uznała, że pora wracać. Poprowadziła mnie zakurzonymi ulicami w stronę szkoły.

Wystarczyło jedno spojrzenie na sklep papierniczy, by krew zastęła mi w żyłach. Był zamknięty. Ponieważ sklepy zazwyczaj zamykano na sjęstę o drugiej i otwierano o piątej lub szóstej, zajęcia w szkole musiały skończyć się jakiś czas temu. Zobaczyłam, że inne sklepy na tej ulicy – kwiaciarnia, piekarnia i tortillería – także są zamknięte. Pod bramą szkoły nie czekały żadne dzieci. Ulica była pusta.

– Chodźmy! – rozkazała Frida. – Bo będą nas szukać!

– Teraz nam się oberwie! – Rozpłakałam się. – Wszystko przez ciebie!

Frida nie odpowiedziała. Złapała mnie za rękę i popędziłyśmy do domu.

## Frida tańczy

Zawsze uważałam, że to nasze doświadczenia szkolne sprawiły, iż Frida została meksykańską patriotką, tak diabelnie żarliwą, jakby chciała wszystkich przelicytować. Twierdziła, że meksykańskie niebo jest najczystsze, najcudowniejsze na świecie – mimo iż niebo nad Mexico City zazwyczaj ma barwę brudnych skarpetek lub moczu zanieczyszczonego kałem. Ale nikt nie mógł przy niej tego powiedzieć, o nie. Natychmiast oskarżała rozmówcę o to, że zaprzedał się jankesom, że jest pionkiem w rękach kapitalistów albo liże dupę europejskim elitom intelektualnym. Miała język paskudny jak szczyńny pijaka. Panu nie muszę tego mówić. Sam pan o tym wie. Potrafiła sponiewierać człowieka tylko dlatego, że sądził, iż niebo w Meksyku nie jest tak niebieskie, jak, dajmy na to, w Kalifornii. Po prostu taką miała naturę – każdą sprawę traktowała obsesyjnie. Dla Fridy niebo nad Meksykiem wyglądało niczym rozżarzony, płynny bursztyn lub turkusowy klejnot, albo płaszcz uszyty z odłamków szafiru. Nie mogła go traktować jak zwyczajnej masy zanieczyszczonego powietrza. Dla Fridy nic nie było po prostu takie, jakie było. Żyła we własnym, wyimaginowanym świecie. Oczywiście, o n uważał to za czarujące, lecz, moim zdaniem, trochę przesadzała, co niekiedy drażniło ludzi. Zapewne to nie tylko jej wina; łatwo zostać fanatyczką, kiedy komuś nieustannie doku- czają, wyzywają od Żydówek i obcych. Ale, z drugiej strony, lubiła

provokować. Czasem zachowywała się tak brutalnie i konfliktowo, że wydobywała z otoczenia najgorsze cechy.

A może plotę bzdury? W końcu, kimże ja jestem, żeby sugerować jakieś wyjaśnienia? Niech pan sam spróbuje odgadnąć, co się działo w jej głowie! Przecież to pan jest lekarzem, na litość boską!

Chciałam tylko powiedzieć, że... no, jako cudzoziemiec doskonale pan rozumie, o czym mówię. Sam pan wie, jakie to uczucie być obcym, choć oczywiście obecna sytuacja nie da się porównać z tym, co musiałyśmy wtedy znosić. A ponadto pan jest poważnym człowiekiem, psychiatrą, my zaś byłyśmy wrażliwymi małymi dziewczynkami i wszystkie te wyzwiska – obce, Żydówki, emigrantki – wycisnęły na nas głębokie piętno. Zwłaszcza na Fridzie, bardziej agresywnej z nas obu, która zawsze znajdowała się w ogniu walki. To kolejna rzecz, jaką o n w niej kochał – waleczność, aczkolwiek czasem sądzę, że grała tę rolę, by skupić na sobie jego uwagę. To znaczy, oczywiście, z pewnością była waleczna, waleczna z natury, ale później ta cecha stała się elementem odgrywanej przez nią komedii. Z niego także był niezły komediant. Rewolucjonista, twórca fresków dla mas – wszystko to stanowiło część postaci, którą stworzył na własny użytek.

Demonstrowanie, że jest taką samą, a nawet lepszą Meksykan- ką niż my wszyscy, przybrało u Fridy kształt obsesji. Wie pan, że urodziła się w 1907 roku, dokładniej mówiąc, 6 lipca 1907, ale zawsze podawała jako datę urodzin rok 1910, w którym wybuchła rewolu- cja meksykańska. Chciała być prawdziwą córą nowego Meksyku.

Niekiedy przymykała oczy i oznajmiała w uniesieniu:

– Jestem Meksykan- ką, jak ten orzeł, który szybując w powie- trzu na rozpostartych skrzydłach ze śniegu i popiołu, szarpie mo- carnym dziobem stratosferę!

– I sra na moje freski! – dodawał o n, po czym śmiałyśmy się bez końca.

A te jej długie, indiańskie suknie! Ludzie mówili, że chciała w ten sposób ukryć kulawą nogę i zatuszować kalectwo, ale to

jedynie część prawdy. Przede wszystkim pragnęła podkreślić swoją *mexicanidad*, meksykańskość, solidarność z prostym ludem Meksyku, aczkolwiek w naszych żyłach płynęło tyle indiańskiej krwi, co kot napłakał. Chociaż nie – ojciec naszej Mami był Indianinem z Morelos. Ale Frida namiętnie utożsamiała się ze sprawą rewolucji, tym bardziej że o n zajmował w ruchu ważną pozycję. Poza tym lubiła wyróżniać się w tłumie.

Jak to – znów odbiegam od tematu?

A, rzeczywiście, mówiłam o tym, że Frida zawsze mnie chroniła, zawsze, nawet gdy byliśmy małe. Opowiadałam o dniu, w którym uciekłyśmy ze szkoły.

Kiedy zdałyśmy sobie sprawę, jak późno się zrobiło, pobiegłyśmy do domu, modląc się w duchu, by Mami nie dowiedziała się o naszym wybryku i nie wściekła się na nas. Niestety, panna Caballero wysłała do naszego domu pomocnika, który powiadomił rodzinę o naszej ucieczce. „Pomocnicy” – tak ich nazywałyśmy, żeby nie mówić o nich „służący”, żeby móc udawać osoby demokratyczne, szanujące wszystkich bez wyjątku, żeby przekonać same siebie, iż nie uważamy ich za zwykłych Indian na posyłki. Ten konkretny „pomocnik” miał na imię Arturo i panna Caballero mawiała, że robi miny jak cielę, któremu właśnie poderżnięto gardło.

Niestety, po drodze Arturo natknął się na Conchitę, która właśnie szła odebrać nas ze szkoły.

Kiedy Mami usłyszała, że uciekłyśmy z piekła zwanego szkołą, nie zastanawiała się ani chwili, nie poczekała, aż zwyczajnie wrócimy do domu, lecz natychmiast posłała lokaja Manuela do naszego ojca, do jego pracowni, która znajdowała się aż w Mexico City.

Wyobrażam sobie tę scenę. Wiekowy, pokręcony artretyzmem Manuel wpada do ciemni Papy i oznajmia:

– Dzieci zginęły!

Papá patrzy na Manuela swoim zwykłym, na poły nieprzytomnym wzrokiem i usiłuje przyswoić informację. Widzę to tak

wyraźnie, jakbym tam była – Papá spogląda osłupiały na Manuela i próbuje zrozumieć, co się stało.

– Señor! Dziewczynki zniknęły! Uciekły ze szkoły i nikt nie wie, co się z nimi stało! Panna Caballero przysłała umyślnego! Señora odchodzi od zmysłów!

Papá milczy.

– Pańskie córki, señor!

– Moje córki?

Mózg Guillermo Kahlo zaczyna przetwarzać usłyszaną wiadomość. Na czole Papy wykwitają diamenty potu.

Musi pan wiedzieć, że w owych czasach zaginione dziecko często kończyło jako dziecko martwe. Dorastałyśmy za dyktatury Victoriana Huerty, który objął władzę w 1913 roku, a jego ludzie znani byli z tego, że porywali dzieci z placów zabaw, aby ukarać lub wywrzeć nacisk na ich rodziny. Zwolennicy Zapaty, tacy jak moi rodzice, stanowili dla nich doskonały cel. Dostojnicy huertystowskie obnosili się ze swą szacownością – przecież odebrali władzę buntownikom i przywrócili ład społeczny, nieprawdaż? – ale wynajmowali zbirów do brudnej roboty, ci zaś nie znali litości. Poderżnięcie gardła słodkiemu trzylatkowi było dla nich czymś równie łatwym jak zabicie kozy. Dzieci pierwsze padały ofiarami gry o władzę.

Jestem pewna, że gdy Papá w końcu zrozumiał, co Manuel doń mówi, rzucił zdjęcia, które właśnie wywoływał, i wypadł za drzwi bez kapelusza, zapominając o zostawionych na stole chemikaliach.

Jakim był ojcem? A co to ma do rzeczy? Przecież wyjaśniam panu, że Frida była dla mnie dobra, aby wreszcie przestał pan sugerować, iż ja... iż ja zrobiłam to, co zrobiłam, bo jej nie cierpiałam... nienawidziłam. Doskonale wiem, o co panu chodzi.

Więc co za różnica, jaki był Papá?

No dobrze, opowiem panu. Niech pomyślę. Był to dziwny człowiek. Jako ojciec odznaczał się dystansem, a nawet surowością, lecz w głębi serca bardzo nas kochał, zwłaszcza Fridę. Frida była

dla niego wszystkim, może dlatego, że bardzo go przypominała – genialna, opętana, szalona. Traktował Fridę jak ostatnie jajko na twardo na pikniku, jak ostatnią aspirynę w apteczce, jak ostatni dzbanek ponczu w lodówce. Frida chochlik, Frida łobuziak. Zabierał ją na niekończące się spaceru, gdzie zbierali kwiaty lub kamienie i układali je według wielkości i kolorów. Czasem i ja chodziłam z nimi, ale zawsze czułam się zbędna, jak kurczak w cudzym kurniku. Papá miał nadzieję, że któregoś dnia Frida zostanie naukowcem albo lekarzem. Kiedy trzymał ją na kolanach i wpatrywał się w przestrzeń, wyglądał jak człowiek niespełna rozumu, nie z tego świata – niczym święty, będący świadkiem Zmartwychwstania.

Co się tyczy mnie, wcześniej uznał, że zostanę tym, czym istotnie się stałam – niczym.

Jestem zatem pewna, że myśl, iż Fridzie coś grozi, poraziła go niczym błyskawica i zamieniła jego biedny mózg w jajecznicę.

Tymczasem Frida i ja zbliżyliśmy się ostrożnie do domu, który z daleka wyglądał jak gigantyczny tort obłany niebieskim lukrem, w którym belki i framugi okien pełniły rolę lasek cynamonu i kawałków czekolady. Był to rozległy budynek w hiszpańskim stylu kolonialnym, o wąskich, otwartych na ulicę oknach z okiennicami. Wewnątrz mieściła się amfilada pokoi otaczających ogromne patio, gdzie w wielkich donicach z terakoty kwitły krzewy geranium i kaktusy. Papá postawił ten dom kilka lat przed narodzinami Fridy i kazał go pomalować na ciemnoniebiesko, toteż odkąd pamiętam, wszyscy nazywali go Casa Azul.

W drodze do domu moja siostra próbowała nadrabiać miną, ale widziałam, że się boi.

– Może powinniśmy przekraść się do naszego pokoju – szepnęła – i udawać, że byliśmy tam przez cały czas.

– Myślisz, że się uda?

– Może.

Dokładała starań, aby jej głos brzmiał przekonująco, ale obie wiedziałyśmy, że szukając nas, Mami zapewne przewróciła do

góry nogami cały dom. Oczywiście duszy widziałam, jak ciska drobiazgami o ściany, przeklinając jednocześnie wszystkich świętych, pannę Caballero, a w szczególności swego męża niedołęgę, który obdarzył ją takimi krnąbrnymi dziećmi.

– Spróbujmy najpierw znaleźć Conchitę – podsunęła Frida.

Przekradłyśmy się wokół domu do kuchni, nie znalazłyśmy tam jednak Conchity. Tylko kucharka Inocencia klęczała przed ołtarzykiem obok spizarki i modliła się do Najświętszej Pani z Guadalupe:

– Biedne dzieciątka... zbrodniarze... zabójcy... *Virgen Madre...* spraw, by wróciły do domu...

– Marnie to wygląda – szepnęła Frida.

Załkałam cicho, lecz ona uniosła do ust palec, każąc mi zamilknąć:

– Cśśś! Zamknij się, dzidziusiu!

Kucharka modliła się nadal, a po jej masywnych, śniadych policzkach spływały ciężkie łzy.

Frida podkraśniała się do niej z tyłu i leciutko dotknęła jej ramienia.

– Inocencia! – powiedziała cicho.

Kucharka zaskoczona odwróciła się, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

– Frida!

Frida zachichotała. Nawet ja uśmiechnęłam się niepewnie. Inocencia, wciąż na kolanach, uściskała nas i jęła zawodzić:

– *Oh, gracias a Dios!* Dzięki Bogu! Och, dzięki Ci, Najświętsza Panienko!

Dźwignęła swe niezgrabne ciało do pozycji stojącej, po czym nałała nam soku i położyła na talerzu kilka tortilli.

– Gdzieście byli? – zapytała surowo, udając, że nas strofuje. – Wasza biedna Mami omal nie zwariowała ze zmartwienia. Idźcie do niej natychmiast i powiedzcie, że nic wam się nie stało.

Ja pożerałam tortille, ale Frida stała nieruchomo, zagryzając wargę.

**Opowieść bez tabu – o dziewczynie, której mocnego charakteru nie złamały ani choroba, ani wypadek, nie mówiąc już o opinii publicznej, z którą nigdy się nie liczyła, wiodąc skandalizujące życie.**

Poruszająca historia niezwyklej artystki, przedstawiona z perspektywy jej młodszej siostry, którą Frida z czasem zaczęła nazywać bliźniaczką i przed którą nie miała tajemnic.

**Zawsze wiedziała, kim chce być: Wielką Fridą Kahlo. Egocentryczna, pewna siebie, odważna i przebojowa – była jednocześnie czuła, krucha i nadwrażliwa.**

Już za życia stała się legendą. Największe zainteresowanie budził jej burzliwy – niekonwencjonalny, pełen bólu i zdrad – związek z Diegiem Riverą, największym meksykańskim malarzem tych czasów, a zarazem zagorzałym komunistą. Przyjaźń (i romans Fridy) z Trockim nie przeszkadzała Państwu Rivera utrzymywać kontaktów z amerykańskimi milionerami; obok bohemy i rewolucjonistów spotkamy więc na kartach tej powieści zamawiającego u Rivery prace Rockefellera czy wielkie gwiazdy Hollywood. Dla nich przez wiele lat Frida była po prostu piękną i oryginalnie po meksykańsku ubierającą się żoną wielkiego artysty, która też czasem maluje.

Dziś to jej śladami rzesze wielbicieli przyjeżdżają do Casa Azul, to o niej kręci się filmy i to ona pozostaje wciąż wielką tajemniczą postacią – kwintesencją meksykańskiej sztuki i symbolem wolnej niezależnej artystki.

www.marginesy.com.pl



9 788364 700699

cena 39,90 zł

PATRONAT

BOOKLIPS.PL IIIII

ROOM